

VARIARIA

NASZA ANKIETA

Zwróciliśmy się do grona znanych osób z pytaniem – jakie zdarzenie z szeroko pojętej kultury było dla nich najważniejsze, najbardziej poruszające w minionym roku? W pytaniu zawarta była wzmianka o ewentualnym kryzysie w sztuce współczesnej – zachęta dla tych, którzy nie mają nic dobrego do powiedzenia o naszych czasach.

W miarę jak oddalał się rok 1986 a pismo nie mogło się narodzić – traciłmy trochę serce do tego pomysłu – i my, i niektórzy nasi potencjalni respondenci. Mamy więc odpowiedzi od najbliższych i od najwytrwalszych. Jednym i drugim bardzo serdecznie dziękujemy.

Mimo opóźnienia, drukujemy te głosy w przekonaniu, że nie stracimy na wadze.
Redakcja

Krystyna Janda

Od kilku lat mam wrażenie, że jest bardzo źle z naszą sztuką. Kiedy tr-

zrozumiałam, zaczęłam gorączkowo szukać czegoś, co by zaprzeczało moim odczuciom: scenariusza filmowego, sztuki współczesnej, powieści... ale nie mogłam znaleźć niczego, co by mnie głębiej poruszyło. Aż kiedyś znalazłam scenariusz. Okazało się wtedy, że są przeskody nie do pokonania natury technicznej i finansowej. Został więc teatr. On nie wymaga takich nakładów. I cóż zobaczyłam w teatrze? Zmęczonych aktorów siedzących w bufetach, bardzo nieszczęśliwych, kiedy każą im wstać i pójść na próbę. Oni stracili już nawet nadzieję, że coś niezwykłego się wydarzy! Pomyślałam, że została jeszcze klasyka, np. Szekspir! Pobiegłam z tym do reżyserów. Co, Szekspir?! Rozłożyli ręce. Szekspir u nas tak zarzewiał, że nikt go nie chce ruszyć. To może dramat antyczny, zaproponowałam nieśmiało. Popatrzyli na mnie jak na szaloną.

Doszłam więc do wniosku, że jednak skazani jesteśmy na współczesność. Może więc coś zabawnego? Zaśpiewałam nawet taką wesołą, aluzyjną piosenkę. To było straszne! Miałam wrażenie, że publiczność zaraz wyjdzie i trzaśnie drzwiami! Skończył się czas aluzji. Albo mówi się wszystko, albo nic.

Co więc nam zostało? Przecież gdzieś muszą być ludzie, którzy wiedzą. Mistrzowie, starzy artyści, wielcy artyści. Poszłam do nich. Siedzieli właśnie bardzo zatroskani, mówili: co mamy robić, co mamy robić?

Może dekalog, coś o miłości, miłość jest wieczna, kochaj bliźniego swego, lub nie zabijaj... Tylko, jak to zrobić, żeby to było aktualne, żeby przemówiło? Co robić?

Ale jednak jakoś żyję i nawet poruszam się dość energicznie, mimo wszystko. A odpowiadając na pytanie w jednym zdaniu: W roku, który minął nic mną nie wstrząsnęło, no, może tylko moja, nasza, bezradność.

Barbara Zbrożyna

Jestem pod wielkim wrażeniem prozy Pära Lagerkvista, szwedzkiego pisarza urodzonego w 1881 roku. Odkryłam go na własny użytek niedawno, a żaden z moich znajo-

mych nie zauważył go, nikt go nie czytał.

Jak on angażuje czytelnika w dialog ze sobą! Nie ma tam pustych miejsc, każde słowo, każde zdanie jest niezbędne: liść na drzewie, kolor drogi. Porusza przy tym tematy zasadnicze: człowiek, Bóg, świat. Ta opowieść rozgrywa się na odległym planie historii, lub gdzieś poza nią, ale ów świat pozornie nierzezywisty jakże nam jest bliski. Odnalazłam w jego prozie *misterium*, a więc to, czego pozbawili nas ostatnie, aż nadto dostojne, lata.

Drugi wstrząs roku 1986 to spotkanie we Włoszech z sarkofagami Etrusków. Pewnego dnia na pewnym podwórku leżało kilkadziesiąt sarkofagów pań i panów. Wzruszyła mnie ich prywatność, dotykliwość. Duża, ciepła forma i ta finezja detalu, która nie ma nic wspólnego z naturalizmem.

Rzeźby w naszych kościołach są z dystansem, są chłodne, a w tych sarkofagach jest opowieść o prywatnym człowieku. Na wystawach w Paryżu czy u nas tyle krzyku, nonszalancji, a tu ten szept, który o ileż więcej mówi.

Bengt Holmqvist

Dla mnie najważniejszym wydarzeniem literackim roku 1986 była publikacja w Stanach Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii książki Josepha Brodskiego *Less than One*, obszernego zbioru esejów z ostatnich lat.

Brodski jest nie tylko największym rosyjskim poetą naszych czasów. To postać o uniwersalnym znaczeniu. W pokoleniu, które następuje po Czesławie Miłoszu, który jest szanowanym polskim kolegą Brodskiego i darzy go ojcowską przyjaźnią, nie ma – wierzę – nikogo, kto reprezentuje godność poezji z równą siłą i pasją.

Less than One nie pozostawia wątpliwości, że Brodski jest również jednym z bardziej subtelnych umysłów krytycznych dnia dzisiejszego. Pisze on, bez wątpienia, z niezwykłą jasnością swoich bezpośrednich poprzedników na rosyjskiej scenie poetyckiej, jak: Mandelstam, Achmatowa, Cwietajewa. Lecz jego głębokie zrozumienie obejmuje w nie mniejszym stopniu takich mistrzów jak: Konstantinos

Kawafis, Eugenio Montale czy godny uwagi Derek Walcott z Zachodnich Indii, członkowie międzynarodówki poetyckiego modernizmu, których prace przetrwają jako nieliczne przykłady zbawionego wkładu do dziedzictwa naszego dramatycznego, umierającego stulecia.

Mówiąc krótko, Josepha Brodskiego *Less than One* należy do kategorii rzadkich i bezcennych książek, które mogą umocnić w każdym czytelniku wiarę *quand même* w niezniszczalne wartości.

Konstanty Jeleński

Zwycięstwo młodzieży francuskiej, która nie dopuściła do niefortunnej reformy szkolnictwa. Mówiono, że to pokolenie interesuje się wyłącznie karierą i pieniędzmi, że jest dorobkiemowskie i całkowicie niewrażliwe na wszelką ideologię. Nagle okazało się, że młodzież (zwróćmy uwagę, że cyfra 86 jest anagramem 68) ma dosyć pustych obietnic. Okazało się poza tym, że solidarność tego pokolenia nie oznacza wcale skłonności do jakiejś doktryny lewicowej, na przykład do marksizmu. Młodzież francuska domagając się utrzymania zasady wolnych zapisów na studia czuje, że w przyszłości, bezrobotna czy nie, będzie miała przez swe studia inny stosunek do życia, do swoich dzieci. I jeszcze jedno: śmierć jaką podczas zajęć w Dzielnicy Łacińskiej poniósł student, Malik Ousseine nie była daremna, nie poszła na marne, ponieważ po niej nie było już następnej szarzy policji.

Po drugie: polskie wydanie Gombrowicza. Nigdy nie był potrzebniejszy, tym bardziej, że ostatnimi czasy przeżywa w Polsce gorszą passę, jest jakby odrzucany. Tymczasem Polska staje się krajem Syfonów. I koniecznie powinno urodzić się w niej więcej Miętusów, po to, by stała się krajem normalniejszym. Gombrowicz jest potrzebny dla przyjemności, dla nauki, do zabawy i zwalczania polskiej gęby patriotycznej. Uczy zaciekawienia życiem: żyjemy przecież w codzienności i naszą codziennością powinniśmy być zafascynowani. A nie udawać, że ma się stałe 40 stopni gorączy i na oku wyłącznie wielkie cele. Ulu-

bionym słowem Gombrowicza jest rozluźnienie i to rozluźnienie, odczłowieczenie Gombrowiczem wydaje się dzisiejszym Polakom ogromnie potrzebne.

Wojciech Karpiński

Za najważniejsze wydarzenie w dziedzinie polskiej kultury w roku 1986 uważam publikację *Dzieł* Witolda Gombrowicza przez Wydawnictwo Literackie w Krakowie. Nie jest to wydanie pełne spuścizny wielkiego pisarza, nie jest ono szeroko dostępne ze względu na zdumiewająco mały nakład, ale stanowi pierwszy krok na dobrej drodze. Ważny krok.

Ważny z kilku zasadniczych powodów. Obecność Gombrowicza po latach zakazów, choćby wolno się przesączająca z bibliotek, do których trafiają te dzieła i trafiają czytelnicy, spowoduje zachwianie fałszywych hierarchii. Silny nurt polskiej kultury dochodzi w tych książkach wyraźnie do głosu. Gombrowicz jest, moim zdaniem, nie tylko najznakomitszym prozaikiem polskim naszego stulecia, jest po prostu autorem najlepszej polskiej prozy. Stworzył język wzorcowy, utrwalił w momencie równowagi.

Inna jeszcze hierarchia stanie się widoczna z publikacją tych dzieł w tomach: w dziele Gombrowicza *Dziennik* zajmuje miejsce pierwsze – rozpiętością stylu i powagą tematyki *Dziennik* wyróżnia się nie tylko na tle młodej prozy polskiej, również na tle znaczących dokonań światowej literatury: przedstawia żywego współczesnego człowieka, nie poddającego się masowemu uniesieniom i resentymantom, zmagającego się z ciałem i duchem – *Ecce Homo*. Ten wizerunek, jednocześnie z Montaigne'a i Pascala, nie stracił na aktualności; jego czytelność, zawarta w nim moc prowokująca i wyzwalająca, będzie rosła.

Andrzej Kuśniewicz

Odpowiedź na ankietę w sprawie stanu sztuki światowej w roku 1986, nie jest łatwa z tej przyczyny, iż mieszkającemu w Polsce wielu elementów oceny brak. Jesteśmy w wielu dziedzinach odcięci od reszty świata, lub dowiadujemy się

z opóźnieniem, co ciekawego ukazało się w danym roku. Biorąc te zastrzeżenia pod uwagę, spróbuję jednak odpowiedzieć na pytania ankiety.

A zatem: w architekturze (a jej część z całą pewnością należy do sztuki) u nas – nic szczególnego. Znikome pole działalności architektów-artystów z tak zwanych przyczyn obiektywnych. Nigdy nie mieliśmy, niestety, szczęścia do pomników. Te, które mają jakąś wartość (przykładowo w Warszawie: książę Józef Poniatowski, Kopernik, Sobieski w Łazienkach), są dziełami artystów cudzoziemskich. Powstałe u nas ostatnio, na wiele lat niestety, obrzydzą nam różne dzielnice miasta.

Jesteśmy bez wątpienia potentatami w dziedzinie muzyki, znani i cenieni w świecie. Wystarczy wymienić przykładowo nazwiska Pendereckiego czy Lutosławskiego jako kompozytorów, zaś Maksymiuka wśród dyrygentów. Także osiągnięcia naszych orkiestr symfonicznych, opery i baletów.

gorzej z teatrem. Mam na myśli teatry w Polsce. Zaważyły tu na pewno decyzje organizacyjne w tej dziedzinie w latach osiemdziesiątych, jak choćby los zespołu Teatru Dramatycznego w Warszawie. Mamy natomiast wiele świetnych artystek i aktorów jak i reżyserów. Rzadko niestety mam okazję obejrzeć coś na stołecznych scenach. Trzeba by należeć do uprzywilejowanych z różnych przyczyn, grupy albo krytyków teatralnych, albo też stałych bywalców posiadających tak zwane „dojścia”, by móc coś ciekawego zobaczyć. Przykładowo ostatnio – *Garderobianego*. Od czasu do czasu można obejrzeć coś w telewizji. Ostatnio – choćby *Opuścił z Hollywoodu* ze znakomitym Gajosem na czele, czy też *Hamleta*. Na mnie największe wrażenie wywarł Kantor ze swą ostatnią sztuką *Niechaj szczerą artysty*. To Kantor właśnie ratuje w dużej mierze nasz honor na scenach świata. Poza Kantorem zachwylił mnie Łomnicki w krótkich scenach Becketta. Możemy się pocieszyć, iż na scenach zagranicznych również w minionym roku 1986 rewelacji nie było.

Na temat filmów mogę powiedzieć tylko tyle, na ile udało mi się coś zobaczyć. zatem – *Therèse* Alaina Cavalliera, rewelacja jesiennego sezonu zeszłorocznego w Paryżu, nagrodzona francuskim „Oskarem”, zwanym też „Cezarem”. Ponadto na pewno *Amadeusz* Formana, także na trzecim miejscu *Pułkownik Redl*. Wielu polskich filmów nie udało mi się zobaczyć, więc moja opinia w tej dziedzinie będzie niepełna. Niestety sprowadzamy na nasze ekrany ze względów materialnych, w większości drugorzędne filmy komercyjne, głównie serii *Karate*. Na ambitniejszych filmach widownie są puste.

Literatura. Bywają, jak wiadomo, lata szczodre i lata chude. Rok ubiegły należał do tych drugich. O ile w poprzednich sezonach można

było mówić o arcydziełach takich jak chociażby *Kamień na kamieniu* Myśliwskiego czy *Lament* Terleckiego to w roku minionym panowała posucha. Można by wymienić nieco wierszy Szymborskiej i Nowaka, i na tym koniec. Zaplanowała masówka wydawnicza, doraźnie niaby to rozrachunkowa czy wręcz paszkwilancka, często w dodatku w nienajlepszej polszczyźnie. Ponadto monotonia taniej i wulgarniej, prząsnej erotyki. Cóż bowiem można nowego wymyśleć w tej dziedzinie? Daleko nam do libertyńskich smaków końca osiemnastego stulecia! Spóźnione w dodatku to nasze ubogie porno, kiedy na Zachodzie najwyraźniej moda na nie przemija. No i na pociechę – sporo cennych wznowień, żeby wspomnieć komplet Gombrowicza i wiele in-

nych. Osobiście wysoko cenię PIW-owską „Bibliotekę Myśli Współczesnej”, a w niej między innymi Toffler i Taylor, a także Sedlak. I w tym pewna pociecha czytelnicza.

Obraz, jak widać, osiągnąć zeszłorocznych w dziedzinie Sztuki niezbyt optymistyczny i chwalebny. Lecz gdyby ankieta „Res Publici” odnosiła się nie do sztuki, lecz do kultury współzycia – byłoby znacznie gorzej.

Witold Lutosławski

Najważniejsze wydarzenie roku 1986 w życiu kulturalnym? Z pewnością wydarzyło się wiele ważnych rzeczy. Wybieram z nich tę, która dotyczy mojej dziedziny tj. muzyki. Niestety chodzi tu o zjawisko mające zdecydowanie negatywny wpływ



na przyszłe losy kultury muzycznej. Mam na myśli pewien szczególny rodzaj zatrucia środowiska, zatrucia, którego postępy obserwujemy w codziennym życiu. Nie chodzi tu o powietrze, wodę czy żywność, lecz o środowisko akustyczne, w którym przyszło nam żyć, pracować, odpoczywać. Środowisko to – w szczególności w krajach zamożnych – jest systematycznie zatruciwane przez wszechobecną quasi-muzykę. Quasi – ponieważ to, co wydobywa się z głośników umieszczonych w publicznych miejscach, trudno nazwać muzyką. Najczęściej jest to mdła papka dźwiękowa, która wrażliwego na muzykę człowieka wprawia natychmiast w stan swoistego smętku, zaś po dłuższej chwili – dotkliwie irytuje. Niestety wrażliwych na muzykę ludzi jest o wiele mniej niż tych, którym ten stan rzeczy nie przeszkadza. A będzie ich coraz mniej, ponieważ natrętna „muzyka-tło”, którą słyszy się w ciągu, w restauracji, w windzie hotelowej, na statku i w dziesiątkach innych miejsc powoli, ale systematycznie stępia wrażliwość na muzykę i trudno sobie wyobrazić, aby człowiek wychowany w takich warunkach był jeszcze zdolny do wysłuchania z uwagą i satysfakcją kwartetu Beethovena czy *Preludium* Debussy'ego.

Mieczysław Porębski

Kryzys sztuki? Odkądże się o tym nie mówi? Skłonny byłbym jednak twierdzić, że nie ma kryzysów sztuki, literatury itd., choć nie co rok trafiają się arcydzieła. Są natomiast kryzysy odbioru. Ten, z którym mamy do czynienia, szczególnie jest dotkliwy. Rzecz w tym, że malarsztwo, literaturę żeby się ograniczyć do tych dwu tylko dziedzin) odbiera się indywidualnie. Malarz, pisarz nie mają swojej widowni takiej, jaką ma aktor, śpiewak, sportowiec. Nie słyszy okłasków, nie one stanowią miarę jego sukcesów. A chciałby. Stąd wieczory autorskie, imprezy wernisażowe, happeningi, akcje, performansy, całe autorskie spektakle. Sztukę odbiera się dziś zbiorowo. Czemuż by zresztą nie? Był grecki teatr, były greckie i rzymskie igrzyska, średniowieczni żonglerzy i kuglarze, renesansowe orszaki,

była opera, balet, bulwarowy melodramat dla mniej wybrednej publiczności. Pojawiło się kino w czasach, kiedy chodziło się do kina. Dziś chodzi się pono mniej, ma się telewizję, ma się video. Ale ma się również zaopatrzone w ostatnie nowości księgarnie, tanie serie kieszonkowe (w niektórych przynajmniej krajach), chodzi się, masowo nawet, na wystawy. A jednak coś się zmieniło. Tylko co? Rosnąca konkurencyjność masowych środków przekazu, pasywność sterowanej przez nie odbioru? Warunki życia? Brak tej ściany, na której można by powiesić obraz, przy której można by postawić półkę z książkami? Koczowniczy styl życia współczesności? A może zmiana wzorców obywateli? Cywilizacja nasza jest cywilizacją wysoce wyspecjalizowanych wędrownych ekspertów. Nie ma w niej miejsca na wzorec „człowieka wykształconego” – tak jak go rozumiały czasy nowożytne, wiek XIX i spory kawał wieku XX – człowieka zobowiązanego, jeśli nie przez bardziej istotne motywacje, to przynajmniej przez snobizm do tego, by „znał się” chociażby po dyletancu, również i na literaturze, również i na sztuce, trochę na filozofii, na historii, zarówno „politycznej” jak „naturalnej” na naukach ścisłych. Komu i na co właściwie potrzebna jest jeszcze tzw. „kultura ogólna”, a w szczególności „kultura duchowa”? Stało się z nią coś takiego, jak to, co stało się na nieporównywalnie szerszej arenie z „kulturą fizyczną”, którą zdominowali dobrze płatni zawodnicy i nie bez racji porównywani z antycznymi gladiatorami ich dostawcy.

Przesadam? Oczywiście, że przesadam. Są jeszcze ludzie, którzy czytają samodzielnie książki, oglądają obrazy dla obrazów, słuchają muzyki dla muzyki, uprawiają sporty nie wyczynowo. Jest młodzież, są studenci. No więc czemu przesadam? Bo zastanawiając się, o jakim wydarzeniu artystycznym roku 1986 mam napisać, doszedłem do wniosku, że dla mnie takim wydarzeniem była wystawa 4 x PARYŻ w warszawskiej Zachęcie. A dlaczego? Dlatego, że jest to wystawa bardzo prywatna, zrobiona przez ludzi,

którzy robili ją przede wszystkim dla siebie, spłacając swój prywatny dług Paryżowi, Polsce, wystawowym tradycjom Centre Pompidou i Muzeum Sztuki w Łodzi. I że jest to wystawa, proszę mi wierzyć, znam się na tym, samych arcydzieł – sztuki, dowcipu, intelektu, rzeźb, obrazów, książek, druków, kreacji paryskiej mody i smaku. Rzeczy trudno dostępnych, z ogromnym trudem zgromadzonych – żeby nie rzec – wydartych zbiorom publicznym i prywatnym (bo tylko u nas szasta się tymi zbiorami na lewo i prawo), znakomicie ze sobą zorkiestrowanych w cztery paryskie takty. I jeszcze dlatego, że podobno szeroka nasza publiczność jest zawiedziona. Spodziewała się arcydzieł, a gdy im ją udostępniono, nie umiała ich zobaczyć. Takie jest bowiem dno owego „kryzysu”, o którym się tyle, nie od dziś, pisze i mówi.

Radbym kiedyś szerzej umotywić i rozwinąć taką tezę: malarsztwo, a może i inne dyscypliny twórcze, przechodzi „kryzys”, gdy wyczerpują się aktualne możliwości jego odbioru i gdy w rezultacie popada ono w coś, co nazwać by można jałowym biegiem. Holendrzy nie rozpoznali w swoim czasie geniuszu Rembrandta, nie pojęli, na czym polega różnica między Vermeerem a innymi, świetnymi zresztą mistrzami holenderskich rodzajowych wnętrz i w efekcie musieli czekać na godnych następców tamtych wielkich, na Van Gogha i Mondriana całe dwa wieki. Kiedy nastąpiło rozminięcie się malarstwa francuskiego z jego odbiorcą? Obawiam się, że już w latach hermetycznego kubizmu. W efekcie Francuzi nie poznali się na Mondrianie, Duchampa oddali Ameryce, rozminęli się z tym, co miał najlepszego, surrealizm, zaczęli to odrabiać dopiero od roku 1937. Zabawne, ale wystawa 4 x PARYŻ nie byłaby tym, czym jest bez obrazów (proszę policzyć) z kolekcji grupy a.r. w łódzkim Muzeum Sztuki. Żeby zobaczyć najbardziej reprezentatywne (i opatrzone) wczesne dzieła kubistów, związanych z Paryżem w latach dwudziestych i trzydziestych abstrakcjonistów, najbardziej autentycznych surrealistów, trzeba ich szukać w Leni-

ngradzie i Moskwie, w Paryżu i w Łodzi, w Nowym Jorku i Filadelfii, w Hadze i w Otterlo, u Peggy Guggenheim w Wenecji. A warszawska publiczność dąsa się, że ich nie zobaczyła, chociaż miała okazję zobaczyć kolekcję w kreującym ją wyborze jedyną, a w wyborności swej nieprześcignioną.

Adam Zagajewski

Dwie spośród wielu: na wpół przypadkowo odnaleziony tom korespondencji Hofmannstahla z Carlem J. Burckhardtem wydany w 1956 roku, pełen olśniewających spostrzeżeń i trafnych przepowiedni. A w lipcu tego roku podczas zwykłego wiejskiego festynu gdzieś pod Tulonem, w sytuacji, która powinna zrodzić kicz, wystąpił hiszpański tancerz *flamenco* i lekką precyzją swoich ruchów przypomniał, czym jest artyzm.